

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza drobnego (petit) po 8 centów za każde następne 5 „
Wychodzi w Krakowie 4 razy w tygodniu w dniu przedstawienia teatralnego.

AFISZ

TEATRALNY.

Cena prenumeraty miesięcznej 50 centów
Numer pojedynczy kosztuje 5 centów

Prenumeratę przyjmują: Administracja
Czasu, przy ulicy Różanej Nr. 413
i Kasa Teatralna.

Abonament Nr. 37. Nr. porząd. 93.

TEATR KRAKOWSKI.

We Czwartek dnia 11 Marca 1875 r.

Dzieło sceniczne w 3 aktach A. Dumas'a (syna) przełożyl dla sceny krakowskiej A. Blydowski:

KSIĘŻNA JERZOWA

OSOBY:

Książę de Birac	— — —	Pan Benda.
Seweryna, jego żona	— — —	Pani Hoffmann.
Hrabia de Terremonde	— — —	Pan Podwyszyński
Sylwiana, jego żona	— — —	Panna May.
Pani de Perrigny matka Seweryny	— — —	Pani Wolska.
Galanson, notaryusz	— — —	Pan Szymański.
De Fondette	— — —	Pan Dłużewski.
Baron	— — —	Pan Zapalowicz.
Baronowa	— — —	Panna Solska.
Walentyna de Baudremont	— — —	Panna Heneman.
Berta	— — —	Panna Wojnowska.
Cervieres	— — —	Pan Glikson.
Wiktor, kamerdyner księcia	— — —	Pan Eker.
Rozalia, pokojówka księżnej	— — —	Pani Kwiecińska.

Cena miejsc zwyczajna. — Początek o godz. 7.

Kraków 11 marca.

W sobotę benefis pana Idziakowskiego. Nie wątpimy, że publiczność licznem zgromadzeniem okaże sympatyę dla tego artysty. Przedstawioną będzie wyborna operetka Offenbacha *Księżniczka Trebizondy* w tłumaczeniu Anczyca, ciesząca się niezwykłym powodzeniem na naszej scenie.

* * *

Z powodu słabości panny Urbanowiczówniej, przedstawienie „Półświatka“ zostało odłożonem na później.

TEATR.

Ten Drugi, (L'Autre) dramat w 4 aktach z prologiem pani George Sand.

Chcieliśmy doczekać się drugiego przedstawienia tej sztuki, aby dokładniejsze zdać z niego sprawozdanie, lecz właśnie dowiadujemy się, że z powodu słabości p. Wardzyńskiego nie tak prędko będzie powtórzonem. O sztuce samej nie mamy zamiaru rozpisywać się, tem więcej, że w znacznej części zgadzamy się, że znakomitą a tak dowcipną krytyką sprawozdawcy *Czasu*. Temat to jeżeli nie zużyty to niezawodnie taki którego dzisiejsza literatura dramatyczna francuzka nadużyła, idzie tu bowiem o dzieci nieprawne. Przedmiot to drażliwy, któ-

ry ucziwość, dobry smak i pewna delikatność usiłuje zwykle zachować w cieniu; autorowie francuzcy przeciwnie skwapliwie wytaczają go przed lampy teatralne. W rzeczy samej kwestya ta od dawna zajmuje nie równie większe miejsce w społeczeństwie francuzkiem jak u nas. Przykład szedł tam z góry od królów a któż nie wie o roli jaką odegrali bastardy Ludwika XIV.? Któż nie pamięta ile zółci z tego powodu wylał w swych wiekopomnych pamiętnikach Saint-Simon. Nie chcemy twierdzić aby kwestya ta była zupełnie obcą naszemu społeczeństwu, ale to pewna, że nie występuje ona w niem ani tak drastycznie ani tak nagłaco jak we Francyi, u nas pozostaje ona zwykle w tym cieniu, który zasłania jej godność a stanowi może zarazem jej urok. *Ten Drugi* pani Sand to w gruncie rzeczy ten sam, którego znamy w *Starych kawalerach* p. Sardou lub w owej *Hrabinie de Sommerive* nie dawno granej na tutejszej scenie a przypomnienie było tem bardziej uderzającym, że ta sama artystka w jednej i w drugiej sztuce grała zupełnie podobną rolę i znajdowała się niemal w tej samej sytuacji, że jak tam, tak i tu ona, dziecko, wydawała sąd o rodzicach i potępiała błąd którego była owocem; ten sąd dziecka, pozostanie na sawsze wstrętnym nie naturalnym a tem mniej do darowania, że widocznie wyrachowanym jest na efekt sceniczny z pominięciem prawdy moralnej i psychologicznej. Przedmiot sam przez się niesmaczny i drażliwy, pod piórem kebiecem choćby nawet pani Sand, staje się nie raz ekliwym nawet wstrętnym; jest coś w naturze rzeczy, co sprzeciwia się podjęciu przez kobietę tej kwestyi, sprawia niesmak; a rzecz w tym wypadku o tyle jest drażliwszą, że nie idzie tu tylko o nieprawne dziecko urodzone w zwykłych warunkach, ale o owoc cudzołozstwa i wiarolomstwa małżeńskiego. Ostatecznie pomimo prologu i czterech aktów pani Sand, nie rozwiązał kwestyi, którą postawiła, gdyż ona w zasadzie nie może być rozwiązana bez podkopania podstaw społecznych a tylko w praktyce każdorazowej znaleźć może jakie takie załatwienie odpowiednie do ludzi i okoliczności. Pomimo drażliwego przedmiotu, któż zdoła zaprzeczyć, że tak w wypo-

wiedzianych myślach jak w sytuacjach, błyszczący niepospolity tak często uroczy talent autora *Cosuello*, a jednak ośmielilibyśmy się powiedzieć, że jeżeli w *Tym Drugim* czuć panią Sand, to czuć także, że się nieco zestarzała. Czego jej już zupełnie przebaczyć nie możemy o owej Ofelii o siwych włosach, rozrzucającej kwiaty, umierającej i znowu wracającej do życia, to ekliwe, to rzeczywiście wygląda na parodyę Ofelii, to po prostu śmieszne. Ale dość o sztuce, a teraz przejdziemy do gry artystów, która z wielu względów zasługuje na dokładniejsze zastanowienie się.

Przed innemi pani Hoffmann i p. Benda występując w nader małych rolach prologu, wyborną dali naukę tym wszystkim artystom, którzy mniemają się tak wielkimi, iż każda mniejsza rola uchybia im. Dla prawdziwych miłośników teatru taka nauka i dana przez tych artystów, jest prawdziwą rozkoszą. A jak te małe role odegrane zostały dokładnie, poprawnie, z jaką precyzją i prawdą. Ten sposób grania w prologu rzucił światło na całą sztukę i objaśnił od razu jej doniosłość i znaczenie. W tymże prologu, po raz pierwszy byliśmy zadowoleni z panny Heneman w dramatycznej roli, ton, wyraz twarzy, odpowiednie były położeniu, zwracamy tylko uwagę tej sumiennej i pracowitej artystki na to, iż ton roli, choćby najlepiej uchwycony, jeśli nie jest urozmaicony w ciągu gry intonacjami, staje się monotonnym, trzeba go koniecznie urozmaicać i niepodobna wszystkim wyspiewywać nutę, choćby najmelodyjniejszą, P. Wardzyński, jako Maxwell był bardzo dobrym, już dlatego samego, że od początku umiał obudzić zajęcie widza, wielki to dar sceniczny, nieoceniony, jeśli nie pierwszy. W całej grze jego było wiele czucia, wiele godności, a zarazem wybornie całym wzięciem nacechowane fałszywe położenie, w którym się znajduje, w scenach silnych była ta siła, którą znamy od dawna w p. Wardzyńskim, a nie było tej przesady, nad którą nieraz ubolewaliśmy. Słowem kreacja to artystyczna więcej jak dobra, bo nawet misterna. Nie dostrzegliśmy w tej roli owego błędu wymowy, który zarzucają p. Wardzyńskiemu, a z którego oby na zawsze się wy-

TEATRA W POLSCE

przez **Estreichera.**

KRAKÓW.

(Ciąg dalszy).

Powikłanie rozwlekłe, akt pierwszy naciągany, niemal zbyteczny. Charaktery kobiet nie udały się. Jednakże Anglik pomimo wad wielu, jest komedią jedną z lepszych w naszym piśmiennictwie, bo napisany bieglem piórem, lśni kwiatami w pojedynczych ustępach. Rozebrano w fejtynie „*Czasu*“ z roku 1851. (kwiecień) wady i zalety tej sztuki.

Sztuka Francuz, słabiej napisana od Anglika. Sam Francuz wiele rezonuje i na końcu nie do rzeczy. Charaktery kobiet jeszcze gorzej niż w Angliku nieuchwycone. Mańkowskiej francuzczyną jest już dzisiaj spowsze dniała. Rozwiązanie dziesięcioletnich miłości za płaskie. Wogóle sztuka bez węzła, jest tylko w luźnych scenach i myślach trafną a dowcipną.

Włoszka lepiej jest napisana niż poprzednie — ale myśl do niej pożyczona, z dalszego ciągu „*Wędrówek oryginała*“ (nowych) Korzeniowskiego. Miejsce działania we Lwowie i główne osoby tezsame — myśl walki złego dobrego tażsama.

Nowe są figury Bruckiego i Fenigowej, które oddane z wykończeniem, chociaż niepotrzebnie Fenigowa za wiele rozprawia w pierwszym akcie, i dla tego chybiono tu komiką.

Nauki dawane przez Laurę Foneri, Firlejowi na balu, nudzą długością i nie stosują się do miejsca i czasu.

Choć rzecz odbywa się obecnie w r. 1851 a przynajmniej po roku 1848 w lat parę jak to zesztyki się wykrywa, jednak Laura czyta ustępy z świeżych numerów „*Dziennika mód*“, który z zmianami r. 1848 wychodzić przestał.

Podobnie Brucki wyprawia Laurze i Firlejowi kocią muzykę, chociaż takowa po r. 1848 surowo przy stanie oblężenia wzbronioną była i nieużywaną. Dowcip o wpakowanej żydowi kiełbasie przez paupra, i ów dwu-

wiersz „*Wielbię talent literacki, i t. d. pod placki*“ są to anegdoty nie do komedii. Okoliczność skradzenia pugilaresu i uwierzenia temu przez wszystkich, nawet przez wykształconą Laurę, uwierzenie pospieszne i skutki ztąd nagle, bez zastanowienia lub wysłuchania, nie jest prawdopodobne w rzeczywistości. Kilka pomniejszych figur niepotrzebnie wprowadził. Adaś, Ignasz, Kasztelan, Hrabia, Slemierowicz, Hrabina Iza, gdyby ustąpiły z obrazu, całość lepiejby się zlewała. Metafizyczne perory o polityce i kupie piasku, były widocznie naciągane do osobistych stosunków z życia prawdziwego.

Byłaby sztuka lepszą po obcięciu jej o akt jeden. — Szczególniej pierwszy akt przydługi. Sentymentalna Tekla zarywała coś z sielankowości Gesnera i Floryana. Karmienie Firleja przez Teklę łyżeczką z poziomkami, na scenę nie stosowne, bo śmieszne. Całość utrzymana mimo wątlej intrygi. Ogólną myśl ze sztuki trudno wyprowadzić — rozwiązanie sztuki żadne.

leczył, chcemy tu mówić o tem zacinaniu zębów, które nieraz, mianowicie w scenach czułych oświadczeń, tak mu szkodzi. Dwie tylko zrobilibyśmy uwagi krytyczne: śmiech spazmatyczny w ostatniej scenie był zdaniem naszym, zbyt czynnym, a przy samym końcu okrzyk, gdy córka rzuca mu się w objęcia, niepotrzebny, okrzyk ten artysta powinien zostawić córce, on bowiem wie, że to jego córka, ona przed chwilą dopiero odgadła i musi okrzykiem wyrazić, co czuje, karambolaż zaś tych dwóch okrzyków osłabia wrażenie.

Pan Dłużewski z arcytrudnej roli Marcusa wywiązał się bardzo dobrze, jak na niego, dawno nie widzieliśmy go grającego tak dobrze i chętnie zapisalibyśmy tę rolę jako postęp w jego zawodzie; przedewszystkiem umiał ją dobrze a zewnętrzna strona gry była odpowiednią, od wewnętrznej żądaliśmy nieco więcej misterności.

P. Szymański bardzo ładną i dowcipnie nakreśloną rblę Césaira grał, jak zawsze, poprawnie, z miarą, naturalnie, ale p. Szymański popsuł nas, bo przyzwyczał do tego, że z każdej, choćby najmniejszej roli robi coś ładnego, zabawnego lub wzruszającego, z Césaira, zdaniem naszym, mógł nieco więcej zrobić.

P. Podwyszyński dobrze uchwycił typ Castela, był zabawny, tylko raz, czy dwa dał się porwać oklaskom, poniósł, że się tak wyrazimy i trochę przesadził.

Pani Wolskiej wszelki honor oddać musimy w trudnej prawie do niemożliwości roli Hrabiny. Trzeba wielkiej znajomości sceny, rutyny a zarazem i poczucia artystycznego, aby w ten sposób odegrać tę rolę. P. Wolska gra swoją sympatyczną i wystudowaną, uprawdopodobniła nawet ową scenę pozornej śmierci drugiego aktu a uratowała od zupełnej śmieszności scenę parodyi Ofelii. Co do stroju nie zupełnie może zgadzaliśmy się z uwagami dowcipnego recenzenta *Czasu*. Panie z owej epoki — widzimy to nawet dzisiaj — zachowały zwyczaj strojenia się szczególnie w koronki do bardzo późnego wieku, pomimo starości i słabości, taki strój dopełnia niejako typu, i nie jest nieprawdopodobnym aż do wysnurowania się; co się tyczy charakteryzacji, to być może, iż powinnaby ona być jeszcze starsza, aczkolwiek miała ona swoje zalety. Jedyna uwaga, jakabyśmy z naszej strony zrobili, to że w ostatniej scenie, głos i ton mowy był zanadto podniesiony, nie zupełnie zgodny z poprzednimi scenami, a raczej nadto odskakiwał, gdyż nieco zmienionym i bardziej podniesionym być musi.

Panna May grała rolę Joanny z tą po-

prawnością i dokładnością, które nie możemy dość pochwalić u tej artystki, są to pierwsze i najważniejsze zalety dobrej gry, jest to, że tak powiemy, ta konieczna, niezbędna granica między szopką a teatrem a panna May, teraz, zawsze umie wyraźnie i dobitnie zakreślić tę granicę. Może trochę bogatsza niema gra, nie byłaby w tej roli zbyt czynną, a przedział czterestu lat mógłby być nacechowanym bez pomocy kresek. W ogóle była to gra jeżeli nie doskonała, to szlachetna, myśląca i przyjemnie robiąca wrażenie.

Z umysłu pozostawiliśmy na sam koniec ocenienie w roli Heleny gry panny Urbanowicz, gdyż ona rzeczywiście i niezaprzeczenie była bohaterką tego wieczora, a zarazem chcielibyśmy nieco dłużej zastanowić się nad tym nie zwykłym talentem w chwili właśnie w której zdaje się wchodzić w nową a wielce obiecującą fazę. P. Urbanowicz w sztukach salonowych, w sztukach dobrego towarzysztwa ma już z góry tę wyższość, tak rzadką w Polsce, że jest na scenie bardzo dobrze wychowaną *comme-il-fant* a nawet więcej *bien apprise*. Nie gra ona, dobrze wychowaną, lub dystygowaną osobę, ale nią jest na scenie rzeczywiście i nie umie być inną. Jak w chłopcach arystokratycznych n. p. w *Richelieu* jest *filis de bonne maison*, tak w kobiecych rolach, jest *fille de bonne maison*. Powtarzamy, wielką to już z góry wyższość, szczególnie na polskiej scenie, gdzie w najlepszym razie umieją zaledwie dobrze udawać, to co jest jakby naturą panny Urbanowicz; dla znawców zdaje nam się, że ten odcień będzie zrozumiałym a myśl nasza jasną. Tej wielkiej pierwszorzędnej zalety, ciągle dawała dowody artystka w roli Heleny. Cały pierwszy akt był doskonały, wyrobiony, wypracowany koronkowo; jaka tu obfitość myśli, jakie bogactwo wewnętrznej gry! Ani jedno słowo nie było powiedziane bezmyślnie; czucie, godność, żal głęboki z rozczarowania, a zarazem ta delikatna chęć nie urażenia czemkolwiek tego dla którego się poświęca, wszystko to było oddane misternie, artystycznie a przytem z jaką miarą pozwoliła się artystka domyśleć publiczności, że może, rzeczywiście kocha Marcusa a jakby go kochała, gdyby nie okazywał się takim jakim rzeczywiście nie był. Były to trudności wielkie, które tylko znawca i pilnie śledzący grę ocenić jest zdolny należycie, a z których artystka wyszła zdaniem naszym tryumfującą. W dalszych coraz trudniejszych aktach p. Urbanowicz rozwinęła tyle prawdziwego, nie granego, ale rzeczywistego czucia, z taką miarą, że stanowczo dowiodła, iż role ku którym od pewnego czasu zdaje się przechylać, role nieco rze-

wne i uczuciowe, wchodzą w zakres jej talentu. Wszystkie, prędkie, gwałtowne, wykrzykniki, umie ta artystka znakomicie, przejmująco wydawać z piersi, czego już dowiodła w *Hrabinie Sommerive* przy spotkaniu się z matką a w *Tym Drugim* zarówno w końcowej scenie, jak w drugim akcie przy umierającej babce; łkanie którego użyła w tej scenie, było prawdziwie artystyczne. Być może, że gdzieś, potrzebaby nieco więcej ciepła, lecz w ogóle zdaje nam się, że to co mogło brakować w grze pochodziło ze znużenia fizycznego, bardzo to bowiem męcząca rola, szczególnie dla artystki nieprzyzwyczajonej grywać w tym kierunku. Zmęczenie to naturalne i łatwe do pojęcia, przewyciężyć tylko może wielkie, niesłychane przejęcie się rolą, nastrajające nerwy ponad znużenie fizyczne. Pełno w tej grze było ładnych to znów świetnych epizodów, nie możemy wszystkich podnieść, lecz trudno pominąć, tę figlarną minę z którą Helena twierdziła, że Faraonowie są jej najlepszymi przyjaciółmi, lub kiedy z prawdziwie głębszym pojęciem ze wstrętem odpychała konieczność przebaczenia własnemu ojcu. Słowem zdaje nam się, że kto tak jak p. Urbanowicz teraz w kilku innych a mianowicie w tej roli korzysta z widocznie danej jej sposobności rozwinięcia wrodzonego, nie pospolitego talentu, ten piękną ma przed sobą przyszłość artystyczną. Ale właśnie z tego powodu pozwolimy sobie zrobić uwagę. Kiedy się jest artystką tej wartości i powiemy nawet tego już znaczenia co p. Urbanowicz, nie można ani zaniedbywać ani lekceważyć pierwszych warunków sztuki. Poprawna mowa w języku w którym się gra, gramatyczne wyrażanie się, dokładne spadkowanie, jednym słowem uszanowanie tekstu, oto są pierwsze a niezbędne znamiona szlachetnej, prawdziwie artystycznej gry. Kilku zaledwie artystów w tutejszym teatrze odznacza się temi zaletami, w wysokim stopniu pani Hoffmann i pan Szymański. Na tym punkcie na którym stanęła p. Urbanowicz nie wolno jej być pod temi względami inną. Przyznajemy się, że nieraz powątpiewaliśmy ze smutkiem czy zdoła kiedy wypełnić te konieczne warunki, z prawdziwą przyjemnością notujemy, że rola Heleny, przekonała nas, iż aby mogła dość jest aby chciała. Najlepszym zaś do tego a pierwszym środkiem, jest dobre i dokładne wyuczenie się roli. Co się tyczy toalety w roli Heleny to o ile, druga znalazła ogólny poklask o tyle pierwszej, panie znające się na rzeczy miały wiele do zarzucenia.

Wilhelm.

Tutaj jak i w poprzednich sztukach Górczyńskiego, zalety widzimy w pojedynczych scenach. Recenzja „Czasu“ w dniu 27 listopada 1851 wytknęła wady. W Górczyńskim widny talent, biegłość pióra, znajomość charakterów męzkich, ale też widna nieświadomość sceniczności czyni go gadatliwym, nie zażywającym efektów.

Utwór Anczyca „Jan Sobieski pod Żarnowem“ nie utrzymała się. Nie widziałem jej, więc mi jej osnowa nieznana.

Listowskiego Andrzeja „Biała kamelia“, nie ma pretensyi do oryginalności, śmiałych pomysłów lub filozoficznej myśli. Treść jej prosta. Rzecz między dwiema osobami, małżonkami. Mąż otrzymuje bilet od Józefiny swej pokątnej kochanki, zawiadamiający go, że czeka nań na reducie, że dla poznaki włoży czerwone domino z białą kamelią. Mąż po odebraniu biletu umyślił pójść na redutę lecz przez zapomnienie zostawia bilet na stole i wychodzi z pokoju. Następnie przybywa

żona, a ujrawszy bilet odczytuje go i dowiedziawszy się o treści, składa bilet na powrót. Mąż wraca i zabiera z ręcznie ten bilet ze stołu tak, aby żona nie spostrzegła, która to widząc zapytuje: co on chowa?... Tu następują wymawiania się niezręczne męża i wklania — zdradza się mąż, że karetę sobie zamówił. Żona bada go ciągle, ulajając że się niczego nie domyśla. Godzina naznaczona schadzki zbliża się, a żona go nie puszcza. Zniecierpliwiony udaje, że chce pójść na rekurs, aby się odegrać po przegranej — wtedy żona oświadcza mu że ona pojedzie na redutę. Mąż niedozwala jej, z tą sprzeczki. Wreszcie gdy żona uległa, że zostanie w domu, mąż uradowany zabiera się ku odejściu, a przez drzwi dla przeproszenia się z żoną — zasyła jej pożegnania. Podczas żona przebrawszy się w czerwone domino z białą kamelią nadchodzi w masce innemi drzwiami i udaje Józefinę przybywającą do niego, jako z rozpaczą niedotrzymaniem przezeń schadz-

ki Zmieszany mąż, lękając się nadejścia żony, chce się jak najprędzej pozbyć mniemanej Józefiny. Ta wymawia mu niewierność, on zaklina o ciche mówienie, ona głośno słocha chce ją wypchnąć, ona wrzeszczy w spazmach mąż przerażony, że może żona nadbiedz, nie wie co począć i dopiero z na odsłania maskę a mąż poznaje, że był przedmiotem igraszki. Fraszka ta, jak możemy osądzić jest to utwór maleńki dla jednochwilowej rozrywki, ale napisana jest potoczyscie, z francuską lekkością tutaj właściwą. Dobre było podchwycenie męża roztargnionego, natrąceniem wspominki nazwiska żony Napoleona, — Józefiny. Nieco za gruby dowcip był powiedziany, że żona jest to chleb powszedni, a kochanka jest to ostryga, pierwsze miewa się codziennie, drugie rzadko pierwsze jest pewne, drugie niebezpieczne, bo często niestrawne.

(Ciąg dalszy nastąpi).